

1. Zwiastun

Od robienia niezliczonych kalkulacji bolała go już głowa. Choć rachunek symulacyjny we wszystkich prawdopodobnych wariantach wskazywał na możliwość osiągnięcia wysokich zysków, wciąż gnębił go jakiś niepokój. Przez dłuższy czas nie wiedział, skąd to się bierze, aż wreszcie olśniła go nagle myśl. Chodziło o te 10 milionów dolarów, które zagarnęli cwani Polacy za połowę udziałów w firmie wystawienniczej. Teraz był przekonany aż do granic pewności, że dostali zbyt dużo. Nawet, jeśli musieli słono komuś zapłacić za rezygnację z przejęcia nowych udziałów przez Zarząd Miasta i Skarb Państwa. Kupujący te udziały za symboliczną wprost sumę 3 tysięcy zielonych prezesa państwowej spółki, Jan Koper i Tadeusz Burczyk, zrobili w oka mgnieniu interes życia. Wbrew temu, co myślał pan Robertson, oni uważali, że byli warcy tych pieniędzy za manewr wprowadzenia do spółki gminy miejskiej. Był rzeczywiście prawdziwy majstersztyk, który pozwolił praktycznie za darmo wyłudzić od miasta bezcenne tereny w centrum wielomilionowej aglomeracji i wybudować tam cały zespół pawilonów wystawowych, a wśród nich sztandarową inwestycję, czyli ogromną, o powierzchni 10000m² halę wystawową. Za te dziesięć milionów zarejestrowana w raju podatkowym na wyspie Salomona spółka ECE stała się dominującym udziałowcem w polskiej firmie, której majątek już był wart wielokrotnie tej sumy i nieustannie się powiększał, bo jej działalność była niesłychanie zyskowna. W tym momencie pan Paul Robertson uśmiechnął się pod nosem, bo według sprawozdań finansowych sporządzonych na potrzeby Urzędu Skarbowego spółka była wciąż nierentowna. Gdyby ktoś go zapytał, dlaczego prowadzi działalność przynosząc straty, miał gotową odpowiedź o konieczności cierpliwego inwestowania w rozwój z nadzieją na przyszłe profity. Ale nikt nie zadawał mu takich pytań. Po prostu służby finansowe państwa chowały w takich przypadkach głowę w piasek, a dlaczego tak się zachowują nie wiedzą tylko naiwni. Po przemianach ustrojowych Polska stała się wymarzonym polem gry dla globalnego kapitału. Jawiła się bowiem jako teren dziewiczy, wystawiony nagle na penetrację najbardziej agresywnych inwestorów (czyli spekulantów). Tu szybko i łatwo można było się obłowić żerując na trupie postsocjalistycznej gospodarki. Po rozsypce dawnego aparatu przymusu państwo było prawie bezbronne, osłabione dodatkowo pazernością tworzącej się dopiero klasy politycznej złożonej z dawnych „komuchów i solidaruchów”, ludzi na ogół niebogaty, a pragnących wykorzystać niebywałą okazję do wzbogacenia. Tak jak fetor rozkładającej się padliny wabi i przyciąga na darmową ucztę najprzeróżniejszych zjadaczy nadpsutego mięsa, tak na dobra rzekomo należące przedtem do ludzi pracujących miast i wsi rzuciła się sfora cwaniaków pragnących bogactwa wytworzonego w Polsce. Zagraniczne spółki przed wejściem na polski rynek najczęściej posiadały już jakieś filie zarejestrowane w egzotycznych

państewkach nazywanych rajami podatkowymi. Podatki były tam raczej symboliczne, choć dla państwa, którego ludność można z powodzeniem zmieścić na stadionie piłkarskim średniej wielkości, były i tak znaczącymi dochodami. Formuła wyprowadzania z kraju pieniędzy należnych polskiemu fiskusowi była dość prosta i polegała na oszukańczym zawyżaniu kosztów pozyskania dochodów przez firmę działającą w Polsce. W tym celu zagraniczne podmioty gospodarcze z reguły należące do tej samej grupy kapitałowej, obciążając polską firmę fakturami za rzekome usługi głównie niematerialne. W ten sposób pieniądze, które jako podatek od zysku powinny zasilać \$ budżet państwa polskiego, transferowano za granice oszukując przy okazji polskiego wspólnika przez pozbawienie go części, a nawet całej należnej mu dywidendy. Ten sprytny manewr nie był bynajmniej wynalazkiem pana Robertsona. Tak postępował napływowy kapitał w całym kraju, poczynając od właścicieli hipermarketów a na firmach gromadzących śmieci komunalne na gigantycznych składowiskach, kończąc. W ostatnim dziesięcioleciu trudno by było znaleźć rynki bardziej przyjazne wobec globalnego kapitału od tych, które wyłoniły się po opadnięciu słynnej żelaznej kurtyny zawieszanej wokół byłego obozu socjalistycznego złożonego z radzieckiego imperium zła i otaczających go zniewolonych satelitów. Nic też dziwnego, że pan Robertson przybył tu aż z antypodów, żeby zebrać śmietankę pierwszego wirowania wytworzoną przez tak zwany świat pracy, czyli „suwerenów dawnego ustroju” sprowadzonych teraz do poziomu lumpenproletariatu, pracujących w pocie czoła cały boży dzionek za stawkę wypłaconą za jedną godzinę robotników z krajów należących do światowej elity. Tańszych niż w Polsce robotników można wprawdzie pozyskać jeszcze w czarnej Afryce, ale do inwestowania w tym regionie zniechęcają skutecznie: globalny kapitał, słabe kwalifikacje ludzi, beznadziejna infrastruktura i jeszcze większa korupcja połączona z zagrożeniem zdrowia i życia. Oficjalnie inwestorzy głoszą, że korupcja szkodzi rozwojowi gospodarczemu i coś w tym jest, ale gdyby władza w Polsce była nieprzekupna to w żaden sposób nie można by robić w Polsce tak bajecznych interesów, czyli tak łatwo przejmować na własność efekty pracy całych rzesz ludzkich. Pan Robertson doskonale o tym wiedział. W miarę wpływu środków finansowych na jego konta złożone w bezpiecznych bankach, przestał żałować tych milionów, które musiał wyłożyć kacykom. Zainwestowane w Polsce pieniądze mnożyły mu się jak świnię. Gdyby czytał Bolesława Prusa, byłby pełen podziwu dla trafności jego porównania wypowiedzianego na łamach jego powieści przez rosyjskiego kupca. Jak do tej pory wszystko szło doskonale. Zadowolony był z miejscowych fachowców od zarządzania nadzwyczaj lojalnych wobec szefów, którzy potrafili świetnie sobie radzić z siłą roboczą, grzebiąc ich jak Polak Polaka. A Polak potrafi. Każdy kapitalista dąży do osiągnięcia jak największych dochodów, ale też każdy kapitalista wie, że są granice wzrostu zdeterminowane przez szereg uwarunkowań i granic tych przekroczyć się nie da. A przynajmniej nie jest to możliwe bez kontrolowanych inwestycji, które pozostawiają pod

znakiem zapytania osiągnięcie wysokiej rentowności uprawianego biznesu. Wtedy o wiele łatwiej jest zwiększyć zyski przez obniżenie kosztów własnych. Naturalną barierą wzrostu dochodów jest znikający popyt spowodowany bądź to nasyceniem rynku, bądź wysokością cen, których nabywca towarów i usług nie chce już zaakceptować. Nie można więc w nieskończoność podnosić cen za wynajem metra kwadratowego pod dachem hali wystawowej ani też nieskończenie wznosić cen biletów wstępu na imprezę. Jeśli będzie zbyt drogo, publiczność po prostu nie przyjdzie. Dlatego sprytny biznesmen poszukuje przede wszystkim metod zmniejszenia się własnych wydatków. Jeśli już inwestuje w budynki, to stara się budować jak najtaniej. Czyli na przykład metr kwadratowy powierzchni wznoszonej hali ma kosztować jak najmniej. Słowem hala powinna być ogromna, a przy tym niedroga. Pogodzenie tych sprzecznych ze sobą, a oczekiwanych przez inwestora walorów jest możliwe tylko przy zastosowaniu lekkiej, stalowej konstrukcji. Przy tym preferuje się dachy płaskie ze względu na możliwość drastycznego wzrostu kosztów przy zastosowaniu dachów ze znacznym spadkiem. Inwestorzy wybierają więc znacznie tańszą konstrukcję dachu płaskiego, ale ten wariant z kolei znacznie podraża koszty eksploatacji budynku, jeśli znajduje się w strefie klimatycznej ze znacznymi opadami śniegu. Z tych płaskich dachów trzeba zimą sukcesywnie usuwać śnieg a to kosztuje немало.

Znacznie taniej kosztuje ubezpieczenie budynku od zawalenia, więc inwestor świadomie podejmuje ryzyko, oszczędzając na odśnieżaniu. Pan Robertson obliczył, że takie ryzyko mu się opłaca. Utwierdził go w tym wyrok sądowy przyznający mu znaczną sumę odszkodowania z tytułu uszkodzeń konstrukcji nośnej hali spowodowanych naciskiem grubej warstwy śniegu zalegającej na dachu

Tej zimy dach hali dźwigał jeszcze większy ciężar. Póki, co nic złego się jeszcze nie działo. Na ostatnią wystawę waliły tłumy, a na konto spółki z Wyspy Salomona płynął wartko i nieprzerwanie strumień pieniędzy. Taki stan rzeczy budził wielkie zadowolenie pana Robertsona, który przybył tu aż z antypodów, żeby się szybko wzbogacić. Przyglądając się wcześniejszym wystawom pomyślał, że może też zaoszczędzić na kosztach ochrony obiektu, jeśli zamknie się liczne wyjścia ewakuacyjne z hali. Wtedy nie będzie musiał opłacać ludzi pilnujących otwartych drzwi przed amatorami darmowego zwiedzania. I tak się stało. Tymczasem tysiące ludzi jednocześnie i co dzień przebywało pod dachem hali, a śnieg na dachu topniał w dzień w promieniach słońca. W nocy jednak zamarzał w twardy lód. Pan Robertson zdawał sobie z tego sprawę. Nie dopuszczał jednak złych myśli. Nie chciał myśleć o tym, że konstrukcja hali może ponownie ulec uszkodzeniu, a nawet może się całkiem załamać, Aby przepędzić zły nastrój przeniósł się w myślach na czyste plaże rodzinnego kraju, gdzie była teraz pełnia wspaniałego lata, a bezkresny ocean na wysokiej fali przynosił odurzający aromat wybujałej natury. Ej, chciałaby dusza do raj, ale, niestety, musiał pilnować swoich interesów w tym skutym lodem i zasypanym

śniegiem północnym kraju. Nie wiadomo, czy pan Robertson był dobrym chrześcijaninem i znał listy świętego Pawła, gdzie jest napisane, że całe zło tego świata wyrasta z podłoża chciwości. Gdyby czytał te listy, mógłby dojść do wniosku, że wprawdzie Keynes miał rację, kiedy twierdził, że to praca jest źródłem bogactwa, ale motorem napędowym alokacji wytworzonych już dóbr jest chciwość. A jednym z najdoskonalszych narzędzi służących do zawłaszczenia bogactwa jest spekulacja. Spekulacja to rozbój w biały dzień. To najwyższa forma rozboju. Pan Robertson nie trudził się jednak rozmyślaniami nad konstrukcją tego świata. Pozostawał obojętny wobec faktu, że rozwój cywilizacji oparty jest na fundamentach uczynionych ze złych zasobów natury ludzkiej, a chciwość jest także ważnym motorem postępu i rozwoju skłonnej do złego duszy ludzkiej. Nie zmieniła tego nawet ofiara złożona z męczeńskiej śmierci Chrystusa i jak dotąd zawiodły wszystkie próby zorganizowania społeczeństwa na zasadach zawartych w Dekalogu. Może właśnie, dlatego, że dobro jest jak światło, które się zapala i gaśnie, a zło jak ciemność, która trwa wiecznie. Takie myśli lub im podobne nie zdołały chyba znaleźć drogi do świadomości pana Robertsona. Nie mógł on jednak opędzić się od jakiegoś zwiastuna zbliżającej się katastrofy. Po prostu nie mógł już myśleć o niczym innym. Wyobraźnia podsuwała mu nieustannie obraz zapadającego się dachu przy potwornym zgrzycie trzasku łamanego żelastwa, z głuchym hukiem masy liczonej w tysiącach ton o betonowe podłoże. W zapadłej nagle ciemności żałośnie zaświstało powietrze wyciśnięte ze środka zawałającej się hali. Z rumowiska podniósł się jeszcze jazgot rozchybotanych blach i zadrzała ziemia, a potem nastąpiła straszliwa cisza. W tej ciszy słychać było tylko jęki pogruchootanych ludzi i łoskot ich rozpaczliwego walenia w szyby zamkniętych na głucho drzwi ewakuacyjnych. Cudem ocaleni w ten sposób usiłowali się wydostać z wnętrza poskręcanej stalowej konstrukcji, wypełnionej teraz śniegiem i lodem. Robertson widział jak we śnie człowieka walącego pokrwawioną głową o oszklone drzwi. W ciszy nocy słyszał odgłos zamrożonego skrzypiącego śniegu, po którego zwałach czołgały się ludzkie istoty o połamanych kościach i dziwnie poskręcanych kończynach. W chwilę później w tej porażającej scenerii pojawiła się pierwsza karetka, potem strażacy i dziennikarze polujący na ociekające krwią newsy. Nie wiadomo skąd pojawili się pierwsi gapie i rośli w liczbę, aż tłum ciekawskich otoczył zewsząd miejsce tragedii z ruin oświetlonych teraz reflektorami wzbili się w powietrze biały gołąb i nieoczekiwanie posłużył jako symbol rozpadu cywilizacji zła. Po raz kolejny ludzie ludziom zgotowali masakrę. Nie z powodu jakiegoś fanatyzmu, ale ze zwyczajnej chciwości, bo to chciwość jest korzeniem wszystkiego zła

Pan Robertson wzdrygnął się na ten straszny widok, ale po chwili przerażenie zaczęło mijać, powoli dochodził do siebie. Przecież ta przerażająca wizja to tylko imaginacja. Przecież on jest wybrańcem losu i coś takiego nigdy mu się zdarzyć nie może. Spoglądał teraz z wysokości luksusowego hotelowego

apartamentu na kolorowe światła śródmieścia. W rękę trzymał kryształową szklankę z odrobiną szlachetnego trunku. Na dźwięk osobistego telefonu odłożył na bok szklaneczkę szkockiej i nacisnął przycisk. Wtedy usłyszał chrapliwy, zmieniony nie do poznania głos dyrektora targów:

– Szefie, straszne nieszczęście. Hala spadła ludziom na głowy.